

## DANUTA HACZYŃSKA DA NÓBREGA

„Jestem człowiekiem, który ma dwie osobowości w jednym ciele”

---



14

**Danuta Haczyńska da Nóbrega** urodziła się 17 maja 1929 roku w Warszawie. Jej ojciec, Feliks Tadeusz Haczyński (ur. 1890), był dyplomatą i dziennikarzem, korespondentem PAT w Moskwie do 17 września 1939 roku. Przed wybuchem II wojny światowej Danuta wyjechała z matką pociągiem z Warszawy do Moskwy, by połączyć się z pracującym w polskiej ambasadzie ojcem. Stamtąd, po długiej podróży przez Finlandię, Szwecję, Holandię i Belgię, dotarła do Francji pod koniec 1939 roku. Dalej wypłynęła wraz z rodzicami na statku „Serpa Pinto” do Brazylii. Do Rio de Janeiro dotarli 29 sierpnia 1940 roku. W wieku dziewiętnastu lat wyszła za mąż za Brazylijczyka, pułkownika lotnictwa Aloisia da Nóbrega, z którym ma pięcioro dzieci: Aloisia Feliksa (ur. 1950), Feliksa Tadeu (ur. 1954), Lucynę Marię Felix (ur. 1956), Alberta Feliksa Antônia (ur. 1959) oraz Kennetha Feliksa (ur. 1961). Pracowała jako pedagog w liceum francusko-brazylijskim oraz jako nauczycielka języka francuskiego i angielskiego.

## Dzieciństwo

Urodziłam się w Warszawie w 1929 roku. Jestem jedynaczką. Mam wiele wspomnień sprzed wojny: wakacje w Druskiennikach, szkoła na Żoliborzu... Pamiętam, że bawiłam się w parku Żeromskiego na ślizgawce. Pamiętam też Szkołę Rodziny Wojskowej, do której chodziłam razem z dziećmi legionistów i wojskowych. Kiedy byłam w pierwszej klasie, zaczęłam czytać. Jedną z pierwszych rzeczy, które przeczytałam, była myśl Piłsudskiego zapisana na tablicy: „Niech się śmieją polskie dzieci śmiechem odrodzenia”. Do dziś to pamiętam.

Mój ojciec, Feliks Tadeusz Haczyński, był dyplomatą i dziennikarzem, a matka skończyła matematykę. Ojca wysłano na placówkę do Moskwy trzy lata przed wybuchem wojny. Pracował tam jako *attaché* prasowy. Pamiętam stamtąd defiladę na placu Czerwonym, na którą raz zabrał mnie ojciec. Kiedy miałam dziewięć lat, pojechaliśmy do Petersburga. Wszystkie tamte pałace były jak z bajek. Równie silne wrażenie zrobił na mnie Kaukaz, palmy rosnące na ulicy, jak w tropikach. Było tam jak w bajce: i morze, i plaże, wszystko.

Ubóstwiałam ojca, był bardzo dowcipny i wymyślał dla mnie różne zabawy.

W Moskwie nie mogłam chodzić do szkoły, ponieważ Rosjanie nie chcieli, żeby cudzoziemcy mieszały się z ich dziećmi. Nawet nie przyjmowali do szkół cudzoziemców z korpusu dyplomatycznego, a to dlatego, że jakiś rumuński dyplomata miał córkę w szkole sowieckiej, gdzie jej powiedzieli, że pierwsze metro było w Moskwie, na co ona odpowiedziała:

– Proszę pani, najstarsze jest w Anglii.

Na co nauczyciele powiedzieli, że dziecko ma problemy z rosyjskim, i kazali ją zabrać ze szkoły. Żadnego innego dziecka nie wzięli.

W Moskwie miałam więc guwernantkę francuską, a wszystkich innych rzeczy uczyła mnie mamusia. Pierwszą klasę zrobiłam w Polsce, potem była Moskwa i dopiero do czwartej klasy wróciłam do Warszawy. Na każde wakacje wracaliśmy do Polski.

## Wybuch wojny

Myśmy zawsze jeździli na wakacje do Druskiennik. W 1939, jak co roku, szkoła miała się zacząć pierwszego września, ale wtedy sytuacja była trochę nie bardzo. Z tego, co wiem, to przyjaciel rodziców, który był oficerem sztabowym, zadzwonił pod koniec sierpnia do mojej matki i powiedział:

– Lucyno, pakuj się, bierz dziecko i jedź do Moskwy, jeżeli nie chcesz rozłączyć się z mężem.

– Co się dzieje?

– Nie mogę ci nic powiedzieć, ale pakuj się.

– Ale ja nie zdążę.

– Dzisiaj wieczorem przyślę ci Zosię (Zosia to była jego żona, pediatra), ona pomoże ci się pakować.

Przyszła Zosia i pomogła mamie się spakować. Na drugi dzień matka dzwoni do Zosi:

– Zosiu, Danusia ma ślepą kizzkę. Boli ją z prawej strony.

– Jak to ślepą kizzkę?

Dali mi dużo czekolady, którą trzymano w kredensie.

– Idź na stację, ja też przyjdę i zbadam ją na kolei.

Powiedziała, że to był zwykły ból brzucha.

– Ty jedziesz pierwszą klasą, to powiesz, żeby jej zrobili kurczaka, daj to lekarstwo i jedźcie z Bogiem.

I to był ostatni pociąg, który szedł w tamtą stronę, z Warszawy do Moskwy. Trzy dni przed wojną. Tak żeśmy dostały się do Moskwy.

Podróż wyglądała normalnie, jak zawsze. Trwała dwadzieścia cztery godziny. Niecały miesiąc później Sowieci wkroczyli do Polski.

\* \* \*

Pamiętam atmosferę w Rosji, jaki tam panował głód i ubóstwo, jak ci ludzie chodzili poubierani. To wszystko kontrastowało z warunkami w Warszawie. Panowała tam straszna nędza. Moja matka zawsze

mówiła, że jak wracała z przyjęć dyplomatycznych, to jej się robiło niedobrze, bo widziała na ulicach kobiety czekające na mrozie, żeby kupić chleb dzieciom, nad ranem. To nie był w ogóle w mojej pamięci kraj, to była jakaś zmora, coś okropnego.

Cała ambasada mieszkała w ogromnym pałacu podzielonym na różne pokoje jak hotel. A ja z matką i ojcem jako jedyni mieszkaliśmy w domku w mieście. Którejś niedzieli matka nagle mówi do mnie:

– Jedziemy do tatusia do ambasady.

I tak mamusia zostawiła stół nakryty, kakao ciepłe na stole, wzięła futro i pelerynę balową, na co ja spytałam:

– Co się mamusia tak dziwnie ubiera?

I widzę, że jakieś walizki bierze. A mamusia mówi:

– Weź swoją lalkę, żebyś miała się czym bawić, i jakąś książkę.

Chodźmy, musimy się śpieszyć.

I to było wszystko.

Straszne to było, jak żeśmy wyszły z tego tak ładnie urządzonego przez mamusię domu. Wszystko, co w nim było, moje książki, moje zeszyty, moje wszystko tam zostało. Mój pies kochany, którego tak ubóstwiałam, też został.

Pojechaliśmy do ambasady, w której zostaliśmy wraz z tatą zamknięci i z której nigdy już nie wróciliśmy do naszego domu w Moskwie. Dostaliśmy wspólny pokój w budynku ambasady. To był przepiękny budynek. Teraz to tylko w filmach widzi się takie pałace i takie salony! Te dawne rosyjskie pałace były pełne przepychu. Inne rodziny zostały podzielone: kobiety w salonach dla kobiet i mężczyźni w salonach dla mężczyzn. Zostaliśmy zamknięci w ambasadzie jako jeńcy. Sowieci właśnie wkroczyli do Polski.

\* \* \*

NKWD jeszcze przed wojną bardzo pilnowało wszystkich dyplomatów i dziennikarzy. Kiedyś nawet napadli ojca, który jechał wraz z radcą ambasady i szoferem. Ojciec był dziennikarzem i miał bardzo

krytyczne nastawienie do Rosji. Zdaje mi się, że ktokolwiek, kto tam jechał, mógł być tylko krytyczny. Ale pisał on te swoje krytyczne artykuły na takim poziomie, że trzeba było czytać między wierszami, żeby zrozumieć, że to była ostra krytyka. Napisał też książkę o Rosji, łagrach, kołchozach i tych wszystkich komunistycznych okropieństwach. Dużo jeździł po całej Rosji. Miał zamiar wydać ją w Polsce. Najbardziej wzruszyło mnie i bolało, że musiał ją spalić, bo inaczej z życiem byśmy nie uszli. Pamiętam, jak te wszystkie dokumenty paliły się w wielkim piecu w ambasadzie. Nigdy nie zapomnę widoku jego oczu, kiedy paliła się ta książka. Niestety, nie zostało po niej ani śladu.

Później nastąpiły długotrwałe pertraktacje, żeby nas stamtąd wypuścić, ale ostatecznie podjęto decyzję o tym, że nieprzyjaciół podbitych się szanuje, i pozwolono nam wyjechać po dwóch czy trzech tygodniach<sup>30</sup>. Ale szykanowali nas do ostatniego dnia, do ostatniego momentu.

Ja byłam bardzo mała i nie rozumiałam sytuacji politycznej, ale mój ojciec na pewno spodziewał się napaści Sowietów na Polskę. Nic wtedy nie było pewne. Zdaje mi się, że dużo ludzi się bało, że może coś się stać, ale wszyscy chyba raczej przejmowali się bardziej niemieckim atakiem.

W tym samym czasie Sowietci porwali jednego z konsulów w Kijowie, przyszli po niego w nocy i szykanowali go. Wzywali też ojca, ale matka powiedziała:

– Nie idź, nie idź, bo nie wrócisz.

Tak więc żeśmy wyjechali z tej Rosji. Cały nasz dom, w którym tam mieszkaliśmy, został przez nas opuszczony, a rodzice mieli w nim wszystko, bo matka zabrała różne rzeczy z Polski. Wszystko to przepadło. Wszystko zabrali.

<sup>30</sup> Niemiecki dyplomata Friedrich-Werner von der Schulenburg (1976–1944), dziekan korpusu dyplomatycznego w Moskwie, we wrześniu 1939 roku pomógł członkom polskiego personelu dyplomatycznego, w tym ambasadorowi Wacławowi Grzybowskiemu, opuścić granice ZSRR po tym, jak ich immunitet dyplomatyczny został zakwestionowany.

Jesienią 1939 roku udało nam się pojechać pociągiem do Finlandii. Popłynęliśmy potem z Helsinek do Szwecji, a celem naszej podróży była Francja. Podczas podróży statkiem mieliśmy awarię. Statek w coś uderzył, ale ostatecznie jakimś cudem udało się wypompuwać z niego wodę i dobiliśmy do portu w Sztokholmie. Zatrzymaliśmy się w konsulacie polskim u znajomych, bo ojciec miał przyjaciół w dyplomacji. Było tam przyjemnie, bo Sztokholm to bardzo miłe miasto. Dla zabawy ojciec chodził ze mną pod pałac, przed którym zmieniała się warta. Ze Sztokholmu poleciliśmy samolotem do Amsterdamu, z przesiadką w Kopenhadze. Z Amsterdamu pojechaliśmy pociągiem do Brukseli. W Brukseli też zatrzymaliśmy się w ambasadzie, gdzie pracował inny znajomy mego ojca, syn Mościckiego. Tam żeśmy się zatrzymali na parę dni, a potem pojechaliśmy już prosto do Francji. Pamiętam, jak żeśmy przejeżdżali przez granicę francuską i ojciec powiedział:

– Czy ty sobie zdajesz sprawę, że wjeżdżamy do kraju wojny?

## **Paryż**

Do Paryża przyjechaliśmy późną jesienią 1939 roku. Zostaliśmy tam bardzo krótko. W czerwcu następnego roku Francja skapitulowała. Na mnie Paryż zrobił duże wrażenie, bo był takim tętniącym życiem miejscem, pełnym ruchu, takim właściwie wesołym miastem mimo wojny. Widać było postępującą wojnę, bo w nocy wszędzie panowała ciemność, nie można było mieć zapalonych świateł, okna w domach od wewnątrz były przykryte niebieskim papierem albo zasłonami i ciemno było na ulicach. Ale życie było normalne. Bano się, że będzie tak, jak na pierwszej wojnie. Wprowadzono obowiązek, żeby nosić ze sobą maski gazowe, i oprócz teczki szło się do szkoły właśnie z maską gazową. Mówiłam płynnie po francusku i chodziłam tam do szkoły. Pamiętam, że prawie wszystkie dzieci z klas powszechnych były wysyłane gdzieś na wieś z powodu wojny, bo wszyscy

bali się bombardowania Paryża. Podczas lotów zwiadowczych schodziło się do schronów. Pamiętam, że w klasie, do której chodziłam, na ścianie wisiała mapa Ameryki Południowej. Któregoś dnia w maju 1940 roku nauczycielka powiedziała do nas, pokazując wskaźnikiem mapę:

– Ach, patrzcie się, patrzcie, tu leży Rio de Janeiro – najpiękniejsza stolica świata!

Zastanawiałam się, dlaczego ona tak mówi o tym Rio de Janeiro. Jak to możliwe, że mieszkanka Paryża, najpiękniejszego miasta na świecie, mówi coś takiego o Rio? To rzeczywiście musi być bardzo ciekawe. Bo Paryż wydawał mi się wtedy bardzo piękny. Miejsca, w których się bawiłam, takie jak Jardin du Luxembourg, były zachwycające. Myślałam, że nie może być nic piękniejszego na świecie. A miesiąc później byłam już w Brazylii, w Rio de Janeiro.

Pamiętam jeszcze dzień, kiedy ojciec postanowił wysłać mnie i matkę na południe Francji, ponieważ Niemcy zaczęli się już zbliżać. To był słoneczny dzień, a ja spytałam ojca:

– Tatusiu, co się dzieje? Będzie burza, jakieś grzmoty?

A tu nie widać deszczu ani chmur. Odpowiedział mi:

– Nie, córeczko, to są armaty niemieckie.

Nie zdawałam sobie sprawy, że są już tak blisko. I tego wieczora żeśmy wyjechali na południe kraju. Ojciec dojechał do nas później, ponieważ jako dziennikarz był przyłączony do wojska.

Starał się pojechać do Stanów Zjednoczonych, gdzie był już wcześniej podczas I wojny światowej, nauczył się tam angielskiego i pracował jako dziennikarz. Wtedy też skończył filozofię w Chicago. Dlatego chciał tam pojechać. Ale za każdym razem, kiedy stawał w kolejce do ambasady amerykańskiej po wizę, nagle nadlatywały samoloty i musiał chować się do schronu. I właśnie w schronie spotkał jednego z dobrych znajomych, który, zdaje się, był konsulem brazylijskim.

Zapytał on mego ojca:

– Czemu jest pan taki przygnębiony?

– Nie mogę dostać wizy. I co mam zrobić? Mam rodzinę na południu, muszę ich stamtąd zabrać. Francja upada.

A on:

– A dlaczego pan nie pojedzie do mojego kraju?

I na kolanie wypisał mu wizę do Brazylii.

## Podróż do Brazylii

Wtedy ojciec pojechał po nas na południe Francji. Matka zaczęła się pakować, ale nie można było wziąć ze sobą wielu rzeczy, więc prawie wszystko wyrzuciliśmy. Musieliśmy dojechać do Portugalii. Przejedźdźaliśmy przez Hiszpanię, która wywarła na mnie duże wrażenie, bo to była niedziela i kobiety, które szły w *mantillas*<sup>31</sup> do kościoła, wyglądały, jakby grały w teatrze. Ponieważ nigdy nie doświadczyłam bombardowania ani głodu, ani żadnych takich strasznych rzeczy, to patrzyłam na ten krajobraz podczas podróży zadziwiona. Hiszpania była wtedy bardzo mizerna. Był to czas zaraz po wojnie domowej, więc to było okropne. Kiedy dotarliśmy wreszcie do Lizbony, organizowano tam właśnie jakąś ważną wystawę, na którą specjalnie przyjechał ambasador Brazylii. Miał on niedługo potem wracać statkiem do Rio de Janeiro. I ojciec, który należał do międzynarodowego związku dziennikarzy, dostał bilety na ten statek. A właściwie tylko dostał prawo, żeby je kupić, bo bardzo ciężko było je dostać. Bilety były bardzo drogie. To już były ciężkie czasy. Pamiętam, że matka musiała sprzedać swoją pelerynę sobolową, żeby je kupić. I to było szczęście, że miała futra i biżuterię.

<sup>31</sup> *Mantilla* (hiszp.) – odmiana welonu lub szala zarzucanego na głowę i ramiona, wykonana z koronki lub cienkiej tkaniny jedwabnej. Element stroju ludowego noszonego przez kobiety w niektórych rejonach Hiszpanii.



Do Rio popłynęliśmy statkiem „Serpa Pinto”<sup>32</sup>. Pamiętam, że kiedy statek wypływał z portu, na cześć ambasadora wystrzelono sztuczne ognie i grała muzyka, a matka bardzo płakała, że opuszcza Europę i będzie tak daleko od Polski. Zapytałam:

– Czemu mamusia tak płacze?

A ona nigdy już do Polski nie wróciła.

Podczas podróży organizowane były różne wesołe przyjęcia i zabawy dla dzieci oraz pozostałych pasażerów. Było bardzo wesoło. Patrzyłam, jak młodzież tańczyła z oficerami typowe portugalskie tańce. To było bardzo ciekawe. Do dzisiaj pamiętam tę melodię i taniec *vira*<sup>33</sup>, który tańczyli. Na pokładzie grano też w pokładowego tenisa. Dziewczynki, z którymi się bawiłam, były córkami jakichś wiedeńskich rodzin, które uciekały przed wojną, ale statkiem płynął głównie cały *entourage* ambasadora i różni dyplomaci. To był bardzo elegancki statek, nie jakiś emigrancki. Wypłynęliśmy 12 sierpnia, podróż w sumie trwała siedemnaście dni. Po drodze zatrzymaliśmy się na jedno popołudnie na Maderze i potem na Wyspach Zielonego Przylądka.

Pamiętam, że któregoś dnia morze było bardzo wzburzone i ludzie trochę się pochorowali. Ojciec wtedy zabrał mnie na tył okrętu, gdzie najbardziej bujało, i powiedział:

– Teraz zobaczysz, jak fale bujają.

Myśmy byli na tym wielkim bujaniu i w ogóle nie mieliśmy choroby morskiej. Poza tym ojciec kupił mi książki, żebym miała co czytać podczas podróży. Pamiętam jeszcze dzisiaj, że były to *Robinson Crusoe* i *Wyspa skarbów*. Kiedy statek przepływał przez równik, zorganizowano chrzest. Wrzucali wszystkich do basenu i udawali,

<sup>32</sup> „Serpa Pinto” – statek pasażerski należący do Companhia Colonial de Navegação, pływający na trasie Lizbona–Nowy Jork, Lizbona–Rio de Janeiro–Buenos Aires i Lizbona–Hawana w latach 1940–1955. Podczas II wojny światowej odbył wiele podróży transatlantyckich między Lizboną, Nowym Jorkiem i Rio de Janeiro, przewożąc uchodźców wojennych, przede wszystkim Żydów uciekających przed nazizmem.

<sup>33</sup> *Vira* (port.) – taniec typowy dla folkloru Portugalii.

że ucinali nam włosy drewnianymi nożycami. Ta podróż była bardzo ciekawa i wesoła. Dla rodziców, którzy jechali w nieznaną, zapewne mniej, ale dla mnie jako dziecka – bardzo wesoła.

Podróż w nieznaną. To była dla moich rodziców pierwsza podróż do Brazylii, ale mój tatuś już wcześniej był w Stanach Zjednoczonych. On w przeciwieństwie do matki nie płakał. Był zawsze szalenie opanowany jak typowy Anglik.

Kiedy statek zaczął się zbliżać do wybrzeża Brazylii, to było wspaniałe, to jest nie do zapomnienia. To było nad ranem, między piątą a szóstą rano, i wszyscy wstali, żeby zobaczyć ten moment, jak wpływamy do Rio de Janeiro. Czułam się jak w bajce. Tu jest tak piękna przyroda i tak piękny wjazd, zanim dopłynię się do zatoki Guanabara<sup>34</sup>. Myślę, że w dawnych czasach musieli chować się tu piraci, tyle było tu tajemniczych zakątków i wysp. Wszystko wydaje się bardzo tajemnicze. To jest piękne, nie do zapomnienia.

### **Początki w Brazylii**

Kiedy dopłynęliśmy do Rio de Janeiro, zatrzymaliśmy się w jakimś małym hoteliku, który nam doradzono, bo zawsze jak przypląwał okręt do portu, to pojawiał się sekretarz ambasady polskiej, i wiedząc, że są Polacy na liście pasażerów, radził nowo przybyłym, co robić. Więc ojciec zakwaterował nas w takim małym hoteliku w dzielnicy Flamengo. Hotelik ten już nie istnieje.

Na początku rodzicom było bardzo trudno, trzeba było się urządzić. Zamieszkaliśmy potem w takim małym domku na Copacabanie. Myśmy mieli wtedy bardzo skromne życie, ale ojciec był zawsze w dobrym humorze i mówił:

<sup>34</sup> Zatoka Guanabara – zatoka oceaniczna w stanie Rio de Janeiro. Na jej południowo-zachodnim brzegu leży Rio de Janeiro, a na południowo-wschodnim miasto Niterói.